



**GŁODNE
KAMIENIE**

Rabindranath Tagore

Rabindranath Tagore

Głodne kamienie

Przełożył Jerzy Bandrowski

.....

Fundacja Festina Lente

Zetknęliśmy się z tym człowiekiem w pociągu, wracając z kuzynem do Kalkuty z wycieczki wakacyjnej. Sądząc po stroju i zachowaniu, mieliśmy go zrazu za mahometanina z głębi kraju, kiedy jednak zaczął mówić, nie wiedzieliśmy zupełnie, co o nim myśleć. Mówił o najrozmaitszych rzeczach z taką pewnością, że można było przypuszczać, iż moźni tego świata zawsze we wszystkich sprawach zasięgali jego rady. Jak dotychczas, byliśmy zupełnie szczęśliwi, nie mając najmniejszego pojęcia o tym, że w grze są jakieś nieznane, niesłychane siły, że Rosjanie już idą na nas, że Anglicy knują naszą zgubę, zaś niezgoda panująca wśród przywódców narodowych musi doprowadzić do jakiegoś przełomu. Ale nasz nowy przyjaciel oświadczył z wiele mówiącym uśmiechem: „Między niebem a ziemią, Horacjo, dzieje się znacznie więcej, niż tve dzienniki piszą.”

Ponieważ dotychczas nigdy jeszcze nie opuszczaliśmy domu, człowiek ten imponował nam nadzwyczajnie. Przy najmniejszej sposobności uciekał się do nauk przyrodniczych, przytaczał Wedy lub cytował wiersz któregoś z perskich poetów, a ponieważ my nie mogliśmy rościć sobie pretensji do znajomości nauk przyrodniczych, Wed lub perskiego, nasz podziw dlań wzrastał oczywiście z każdą chwilą, zaś krewniak mój, teozof, był głęboko przekonany, że nasz towarzysz podróży posiada cudowną magnetyczną czy okultystyczną siłę, ciało astralne czy jakieś inne tym podobne nadnaturalne inspiracje. Z pobożnym zachwytem słuchał

najniedorzeczniejszych bredni, jakie wychodziły z ust naszego niezwykłego towarzysza podróży, a nawet robił sobie po kryjomu notatki. Zdaje mi się, że nadzwyczajny mąż zauważył to i wcale nie brał za złe.

Stanąwszy na stacji, na której trzeba się było przesiadać, zebraliśmy się w poczekalni, aby poczekać na swój pociąg. Była dziesiąta wieczór, a ponieważ słyszeliśmy, iż pociąg z powodu zepsucia szyn będzie miał prawdopodobnie znaczne opóźnienie, rozesłałem na ławce swój koc i już chciałem się na nim położyć, aby się spokojnie przedrzemać, gdy naraz ów nadzwyczajny mąż zaczął powoli i z namysłem opowiadać następującą historię. Oczywiście, o śnie tej nocy mowy już nie było.

– Kiedy z powodu pewnej różnicy zdań w sprawach administracyjnych zrezygnowałem ze swego stanowiska w Dzunagarh i wstąpiłem do służby nizama Hajderabadu, zostałem – jako energiczny młody człowiek – mianowany natychmiast poborcą podatkowym od bawełny w Baricz.

Baricz jest miejscowością zachwycającą. Susta, wesoło gawędząc, skacze w dolinę przez kamienie i żwir i drobi potem, niby zręczna tancerka, pod drzewami lasu, leżącego u stóp samotnych gór. Liczące sto pięćdziesiąt stopni schody prowadzą z rzeki w górę, zaś nad schodami, na brzegu rzeki u stóp gór, stoi opuszczony pałac marmurowy. Dokoła nie ma nigdzie ani jednej chaty, bo wieś Baricz ze swym targiem bawełnianym leży w znacznej odległości od pałacu.

Przed jakimiś dwustu pięćdziesięciu laty cesarz Mahmud Szah II zbudował sobie ten samotny pałac na letnie mieszkanie. Za jego czasów biły z fontann strumienie wody różanej, a na chłodnych płytach marmurowych komnat, w których powietrze odświeżano za pomocą sztucznych wonnych deszczów z rozpylaczy, siedziały dziewczeczki perskie z włosami rozpuszczonymi przed kąpielą i, pluskając

delikatnymi bosymi nóżkami w wodzie basenów, śpiewały do dźwięku gitary gazele swych winnic.

Fontanny nie szemrzą już, pieśni ucichły; różane stopki nie drepcą wdzięcznie po białym jak śniegi marmurze. Dziś pałac jest tylko odległą, samotną kwaterą takich jak ja poborców podatkowych, jęczących pod brzemieniem samotności i pozbawionych towarzystwa nadobnych kobiet. Karim Khan, mój stary woźny, kilkakrotnie przestrzegał mnie przed tą kwaterą.

– W dzień może pan tam siedzieć – mówił – ale na noc niech pan nie zostaje!

Odprawiałem go ze śmiechem. Służba oświadczyła, że jest gotowa pracować w pałacu do zmierzchu, ale wieczorami będzie odchodzić. Nie miałem najzupełniej nic przeciwko temu. Dom był tak okrzyczany, że nawet złodzieje z zapadnięciem ciemności nie śmieli się do niego zbliżyć.

Zrazu samotność tego opuszczonego pałacu dławiała mnie jak zmora. Siedziałem w biurze do późna i pracowałem tak długo, jak tylko mogłem, a potem wracałem późnym wieczorem do domu wyczerpany i znużony, kładłem się natychmiast i zasypiałem.

Ale nim tydzień minął, zaczął pałac wywierać na mnie niesamowity wpływ. Trudno to opisać lub kazać komuś w to uwierzyć, ja jednak miałem wrażenie, jak gdyby cały dom był żywym organizmem, który mnie powoli zupełnie pożera.

Być może zaczęło się to, jak tylko wszedłem do tego domu, ale ja przypominam sobie dokładnie dzień, w którym pierwszy raz zdałem sobie z tego sprawę.

Było to z początkiem lata, a ponieważ targ nie był bardzo ożywiony, nie miałem wiele do roboty. Tuż przed zachodem słońca siedziałem w fotelu nad wodą przy schodach. Susta cofnęła się głęboko w łożysko, a na drugim brzegu szeroka smuga piasku świeciła wszystkimi barwami zachodzącego

słońca. Z tego brzegu widziałem przez czystą, płytką wodę, jak na dnie rzeki połyskują kamyczki. Nie czuło się ani tchnienia jakiegoś wiatru, a nieruchome powietrze przepełnione było ciężkim aromatem korzennych krzewów, rosnących na niedalekich wzgórzach.

Kiedy słońce skryło się za górami, długa, ciemna zasłona opadła na scenę dnia, a wyłaniające się przed nią wierzchołki gór skróciły czas mieszania się światła i cienia podczas zachodu słońca. Pomyślałem, żeby się może przejechać i już chciałem wstać, gdy naraz usłyszałem za sobą na stopniach kroki. Obejrzałem się – nie było nikogo.

Przekonany, że to było złudzenie, usiadłem, ale w tej chwili usłyszałem odgłos licznych kroków, jak gdyby wielki jakiś tłum zbiegał na dół po schodach. Całym moim ciałem wstrząsnął dziwny dreszcz zachwytu połączony z odrobiną trwogi, a mimo że oczy moje nie dostrzegły ani jednej postaci, miałem przecie wrażenie, jak gdybym widział gromadę wesołych dziewcząt, zbiegających po schodach, aby się tego wieczoru letniego wykąpać w Suście. Najmniejszy odgłos nie zakłócał ciszy, w której pogrążona była dolina, rzeka i pałac, a przecie ja słyszałem wyraźnie, niby plusk setek kaskad, wesoły, swawolny śmiech dziewcząt, gdy one śpiesząc ku rzece, goniły się i ścigały wzajemnie, nie zauważywszy mnie nawet. Jak one były niewidzialne dla mnie, tak oczywiście ja byłem niewidzialny dla nich. Rzeka była najzupełniej spokojna, a mimo to czułem, jak jej ciche, czyste wody zostały naraz zmacone przez niejedno dzwoniące bransoletami ramię, jak dziewczęta ze śmiechem opryskują się wodą wzajemnie i jak nóżki pięknych pływaczek wyrzucają snopy perlistych kropli.

Czułem, jak serce me drgnęło – lecz nie wiem, czy to, co mnie tak podnieciło, to była trwoga, zachwyt czy ciekawość. Pragnąłem mocno ujrzeć je wyraźniej, ale oczom mym nie

było nic widzialne. Byłem pewny, że zrozumie wszystko, co mówią, jeśli tylko uważniej będę słuchał; jednakże mimo wszelkich wysiłków nie słyszałem nic prócz ćwierkania świerszczy w lesie. Było to, jak gdyby dzieliła mnie od nich ciemna zasłona dwustu pięćdziesięciu lat i miałem aż nadto wielką chęć drżącymi palcami unieść jeden jej koniec i zajrzeć przezeń, choćby nawet to towarzystwo po drugiej stronie pogrążone było w ciemnościach.

Nagły podmuch wiatru przerwał parną, duszną ciszę wieczoru, gładka powierzchnia Susty zmarszczyła się i splątała niby kosa nimfy, zaś równocześnie z lasu, czarnego już w świetle wieczornym, doleciał szmer, jak gdyby ten las zbudził się nagle z jakiegoś ciężkiego snu. Otóż, czy to była rzeczywistość, czy sen – znikomy blask niewidzialnego fatamorgana, dalekiego, dwieście pięćdziesiąt lat liczącego sobie świata, zniknął z błyskawiczną szybkością. Jakoś nie powracały, wykręcając w biegu swe przemoczone suknie, tajemnicze postacie, które szybkimi, bezcielesnymi krokami przebiegły koło mnie ze swym głośnym, bezdźwięcznym śmiechem i rzuciły się w wodę. Jak woń, którą lekki podmuch zwiewa, tak one zostały zdmuchnięte jednym jedynym tchnieniem wiosny.

A wtedy ogarnęła mnie naraz szczerą trwogą, że to może Muza chce wykorzystać mą samotność i opanować mnie – że ta zła wróżka przyszła prawdopodobnie, aby zniszczyć biedaka, który chciał ją wybić jako poborca podatkowy. Postanowiłem tedy porządnie jeść wieczorem, bo te wszystkie różne nieuleczalne choroby pochodzą właściwie zwykle z pustego żołądka. Toteż zawołałem natychmiast kucharza i kazałem mu na drugi dzień, nie szczędząc tłuszczu ani korzeni, zrobić obfite danie Mogułów.

Następnego poranka wydawało mi się to wszystko po prostu urojeniem. W jak najlepszym humorze wziąłem na

głowę kapelusz letni, jak go noszą sahibowie, i pojechałem do kancelarii. Miałem tego dnia napisać raport kwartalny i byłem pewny, że wrócę do domu późno; tymczasem, zanim się jeszcze ściemniło, już zaczęło mnie dziwnie do domu ciągnąć – nie wiedziałem nawet, co to było, czułem tylko, że wszyscy na mnie czekają i że nie mogę dłużej przebywać poza domem. Wobec tego nie skończyłem swego raportu, wstałem, włożyłem kapelusz i przerażony ciemny, opuszczony gościeńcem chrzęstem swego wózka, dotarłem do obszernego pałacu, stojącego w milczeniu u ciemnego okraju wzgórz.

Na pierwszym piętrze prowadziły schody do bardzo obszernej hali z szerokim, bogato ozdobionym sklepieniem, spoczywającym na trzech rzędach potężnych kolumn i jęczącym dzień i noc pod brzemieniem swej bezgranicznej samotności. Dzień chylił się ku końcowi, a lamp jeszcze nie zapalono.

Kiedy otworzyłem drzwi, powstało tam coś w rodzaju panicznego zamieszania, jak to bywa, gdy zgromadzony tłum w nagłym popłochu rozbiega się i ucieka przez drzwi, okna, korytarze, werandy i pokoje, aby tylko jak najprędzej pierzchnąć.

Nie widząc nikogo, stanąłem zmieszany, podczas gdy włosy moje zjeżyły się pod wpływem jakiegoś ekstatycznego zachwyty, a równocześnie odurzył mnie przedziwnie nikły, ze starości prawie zwietrzały aromat olejku różanego i innych perfum. Stojąc tak w kącie obszernej, pustej hali, wśród rzędów tych starych kolumn, usłyszałem szmer wody padającej z wodotrysków na płyty marmurowe, dziwną jakąś melodię wygrywaną na gitarze, brzęk klejnotów, szcęk nagolennic, dźwięk dzwonów wybijających godziny, cichy, dźwięczny ton poruszanych wiatrem kryształowych wisiorów u świeczników, śpiew słowików w klatkach na korytarzach,

klekotanie bocianów w ogrodzie, zaś wszystko spływało się dokoła mnie w jedną cudowną, nadziemską muzykę.

A nagle padł na mnie taki jakiś dziwny urok, że to nieuchwytnie, nieokreślone i nierzeczywiste zjawisko wydało mi się jedyną rzeczywistością na świecie, przy której wszystko inne było tylko snem. To, że ja, Sridżut Taki-a-taki, najstarszy syn śp. Takiego-a-takiego, urzęduję tu jako poborca podatkowy z czterystu pięćdziesięcioma rupiami płacy miesięcznej, ten sam, który dzień w dzień w marynarce i letnim kapeluszu zajeżdża wózkiem zaprzęgniętym w kucyki przed swoje biuro, wydało mi się tak niesłychanie śmiesznym, że stojąc w ciemnościach tej wielkiej, milczącej hali, wybuchnąłem głośnym śmiechem.

W tej chwili wszedł mój służący z zapaloną lampą w ręce. Nie wiem, czy myślał, że postradałem zmysły, ale naraz stało mi się zupełnie jasnym, że istotnie jestem Sridżut Taki-a-taki, syn śp. Takiego-a-takiego. I gdy jedynie nasi poeci mogą powiedzieć, czy gdzieś pod ziemią lub nad ziemią jest jakaś sfera, w której bezustannie szemrzą niewidzialne wodotryski i w której dłonie niewidzialnych wróżek wydzwanają na gitarze wieczne akordy, jedno było w każdym razie pewne, mianowicie, że ja jestem poborcą podatkowym na rynku w Baricz z płacą czterystu pięćdziesięciu rupii miesięcznie. Siedząc przy świetle lampy z gazetą w ręce za swym stołem połowym, śmiałem się serdecznie ze swych przywidzeń.

Przeczytawszy gazety i skończywszy swój obiad, zgasilem lampę i położyłem się do łóżka w małej alkowie. Promienista gwiazda spoglądała bez drgnienia przez otwarte okno sponad obramowanych czarnym lasem gór Awalli – ze swej setki milionów mil liczącej wysokości – na pana poborcę podatkowego, wyciągniętego na swym skromnym łóżku. Myśl ta wydała mi się dziwna i dziwaczna zarazem i nie wiem, kiedy zasnąłem ani jak długo spałem; a naraz zerwałem się ze

snu, mimo że nic nie słyszałem ani nie widziałem żadnego intruza – tylko jasna gwiazda nad wierzchołkiem góry zaszła, a blade światło zachodzącego księżyca ukradkiem wdzierało się przez otwarte okno, jak gdyby wstydząc się własnego natręctwa.

Nie widziałem nikogo, miałem jednakże wrażenie, że ktoś mnie z lekka trąca. Kiedy się zbudziłem, nie odezwała się do mnie ani słowem, a tylko swą zdobną w pierścienie ręką skinęła, abym szedł ostrożnie za nią. Wstałem po cichu i mimo iż w licznych komnatach pałacu, z jego drzemiącymi odgłosami i czujnym echem, nikogo oprócz mnie nie było, bałem się za każdym krokiem, że ktoś może się zbudzić. Większa część komnat pałacu była zawsze zamknięta i ja nigdy do nich nie wchodziłem.

Wstrzymując oddech, szedłem cichymi krokami za swą przewodniczką – dokąd, tego dziś powiedzieć nie mogę. Przez ile prowadzono mnie nieskończonych, ciemnych i ciasnych krużganków, ile długich korytarzy, ile cichych, uroczystych sal posłuchania, i ile małych, zacisznych alkierzyków!

Mimo że pięknej swej przewodniczki dojrzeć nie mogłem, to przecie postać jej nie była dla mego oka duchowego niewidzialną – była to dziewczyna arabska, której gładkie jak marmur, pełne ramiona przeświecały przez luźne rękawy; cienki welon padał jej z brzegu okrycia głowy na twarz, a za pasem tkwił zakrzywiony nóż. Miałem wrażenie, jak gdybym naraz został przeniesiony w którąś z „Baśni z Tysiąca i Jednej Nocy” i szedł na niebezpieczną schadzkę ciasnymi, ciemnymi uliczkami śpiącego Bagdadu.

Wreszcie przewodniczka moja zatrzymała się nagle przed ciemnoniebieską zasłoną i zdawało mi się, że na coś u jej stóp pokazuje. Nic tam nie było, ale ze strachu krew mi naraz w żyłach zastygła – bo tam, u stóp tej opony przywidział mi się okropny Murzyn, eunuch, przybrany w bogaty brokat,

siedzący z wyciągniętymi przed siebie nogami i śpiący z dobytym mieczem na kolanach. Moja piękna przewodniczka przeskoczyła lekko przez jego nogi i uniosła w górę brzeżek zasłony. Mogłem rzucić przelotne spojrzenie w jedną część pokoju, którego podłoga zasłana była perskim kobiercem. Ktoś tam siedział na łożu – kto, tego nie widziałem – dostrzegłem tylko dwie czarujące, małe nóżki w wyszywanych złotem pantofelkach z zakrzywionymi noskami, wystające z szerokich, szafranowych szarawarów i spoczywające leniwie na aksamitnym, pomarańczowym kobiercu. Po jednej stronie stał stoliczek z błękitnego kryształu, na którym kilka jabłek, gruszki, pomarańcze, mnóstwo winogron oraz dwa małe kubki obok złotego dzbana najwidoczniej oczekiwały gościa. Korzenna upajająca woń palących się w pokoju jakichś nieznanych mi kadzideł pozbawiała mnie prawie zmysłów.

Kiedy z biciem serca spróbowałem przejść przez wyciągnięte nogi eunucha, ten zbudził się naraz i zerwał, przy czym miecz z głośnym brzękiem spadł mu z kolan na marmurową posadzkę.

Zerwałem się z głośnymi krzykiem i ujrzałem, że siedzę, zlany potem, na swoim łożku połowym. Był już świt. Błady sierp księżyca wygląda w jego świetle jak wyczerpany chory po bezsennej nocy, a nasz zwariowany stary Meher Ali, idąc pustym gościńcem, wołał, jak to co dzień zwykł czynić: „Precz! Precz!”

Oto było nagłe zakończenie jednej z mych nocy arabskich; ale pozostało ich jeszcze tysiąc.

Teraz nastał wielki przedział między moimi dniami i nocami. W dzień szedłem wyczerpany i zmęczony do roboty, przeklinając noc, która mnie urzekła swymi pustymi przywidzeniami. Ale jak tylko nadszedł wieczór, dzienne me życie z całym swym przymusem i więzami pracy

przedstawiało mi się jako nic nieznaczące i śmieszne przelewanie z pustego w próżne.

Z zapadnięciem nocy ogarniało mnie coś w rodzaju osobliwego podniecenia. Zmieniałem się wówczas w nieznaną osobę z dawno minionej epoki i odgrywałem swą rolę z jakiejś nieopisanej historii – a do tego zupełnie nie nadawała się ma krótka marynarka angielska i ciasne spodnie. Wobec tego, oczekując niecierpliwie cudownego spotkania z ukochaną, zasiadałem w miękkim fotelu, ubrany w szarawary, haftowany żupan, długi zwisający jedwabny kaftan, czerwoną aksamitną czapczkę i z chustką, woniejącą olejkiem różanym, zaś zamiast papierosa, pykałem dym z długich, wijących się, wodą różaną napelnionych nargilów.

Nie jestem w stanie opisać wszystkich tych dziwnych rzeczy, które się działy koło mnie w miarę jak zmrok zapadał. Zdawało mi się, jak gdyby w zaczarowanych salach tego ogromnego budynku nagły podmuch wiosenny pędzi przede mną urywki jakiejś pięknej baśni tak, że mogę dobrze przyjrzeć się jej części, ale nigdy nie poznam całości. A mimo to przez całe długie noce chodziłem z pokoju do pokoju, aby jej jak najwięcej pochwycić.

W tym wirze nieuchwytnych przywidzeń, zapachu kwiatu henny, dźwięku gitary i plusku fontann, rozprzestrzeniających fale aromatów i chłodu, przemknęło koło mnie naraz, nagle jak błyskawica zjawisko przepięknej dziewczicy w szarawarach szafranowego koloru, z różanymi, delikatnymi różkami w wyszywanych złotem pantofelkach o zakrzywionych noskach, w obcisłym, złociście haftowanym gorsecie i czerwonym czepku, z którego na jej śnieżnobiałe czoło i policzki spływała złota kreza.

Doprowadziła mnie do szaleństwa. W pogoni za nią wędrowałem z pokoju do pokoju, z korytarza do korytarza, po

całym oszłamiającym labiryncie mej zaczarowanej krainy baśni.

Czasem wieczorem, kiedy przed wielkim lustrem między dwiema płonącymi świecami stroiłem się niby księżę krwi królewskiej, spostrzegłem nagle, koło swego, odbicie owej perskiej piękności. Szybki zwrot głowy, przelotne, ogniste, pełne namiętności i bólu spojrzenie wielkich ciemnych oczu, delikatne czerwone wargi rozchylone jak gdyby chciały przemówić, postać zachwycająco smukła, uwieńczona młodością jak kwitnący lian, dziarsko wyprostowana w pełnym wdzięku, elastycznym chodzie, oszłamiający wybuch bólu, pożądania i zachwytu, uśmiech, błysk klejnotem i jedwabiów – i wszystko znikało. Nagły podmuch wiatru, brzemiennego wszystkimi aromatami wzgórz i lasów, gasił me światło. Zrzuciłem ubranie i kładłem się na łóżku z zamkniętymi oczami, drżąc na całym ciele z rozkoszy, zaś dokoła mnie w powiewie, tchnącym wszystkimi aromatami wzgórz i lasów, trzepotały w milczących ciemnościach pieszczoty, pocałunki, lube dotknięcia delikatnych rąk; do uszu mych dolatywał cichy szept, słodkie tchnienie owiewało me czoło lub też rozkosznie pachnąca chusteczka wachlowała me policzki. A potem z wolna chwycił mnie w swe zwoje bezlitosne jakiś tajemniczy wąż i z ciężkim westchnieniem zapadałem w stan bez przytomności, który następnie przechodził w twardy sen.

Pewnego wieczoru postanowiłem przejechać się konno; ktoś błagał mnie, abym pozostał w domu, ale tego dnia nie chciałem słuchać żadnych próśb. Mój angielski kapelusz wisiał wraz z marynarką na wieszadle i właśnie chciałem te rzeczy zdjąć, gdy naraz wichur, zmieszany z piaskiem Susty i zeschniętymi liśćmi z gór Avalli pochwycił je i zaczął nimi rzucać wkoło; a wówczas rozległ się wesoły śmiech i uderzając we wszystkie struny wesołości, stawał się

głośniejszy i głośniejszy, póki wreszcie nie zginął w krainie zachodzącego słońca.

Musiałem się wyrzec przejażdżki, zaś na drugi dzień raz na zawsze wyrzekłem się wymiętej marynarki i kapelusza.

Tego znów dnia słyszałem późną nocą rozdzierające serce stłumione łkanie, jak gdyby spod mego łóżka, spod podłogi, spod kamiennych fundamentów olbrzymiego pałacu, z głębin ciemnego, wilgotnego grobu głos jakiś wołał żałośnie i błagał mnie:

– O, wybaw mnie! Rozbij te wrota okrutnego złudzenia, snu podobnego do śmierci i jałowych marzeń, usiądź za mną na siodle, przyciśnij mnie do swego serca, pędź wraz ze mną przez góry, lasy, rzeki, wwiedź mnie w ciepły blask twych słonecznych komnat!

Lecz kimże ja jestem? I jakże cię mogę ocalić? Jakaż tonącą piękność, jaką wcieloną namiętność mam wyciągnąć na brzeg z tego dzikiego wiru marzeń! Ach, ty lube, eteryczne zjawisko! Gdzieżeś kwitła i kiedy? Nad jakimże zimnym źródłem, w cieniu jakich gajów palmowych urodziłaś się – z łona jakiej bezdomnie wędrującej pustynią tułaczki? I któryż Beduin wyrwał cię z ramion matki, ledwo rozchylający się pęczek dzikiego pnącza, i zawiódł na targ niewolników – w którym królestwie? I któryż gorliwy sługa Padyszacha, który cię tam ujrzał we wspaniałości kwiecica twej czystej niewinności, zapłacił złotem za ciebie, wsadził cię w złotą lektykę i zawiózł jako dar dla seraju twego pana? A tu znów historia tego miejsca! Muzyka sarengu, brzęk nagolennic, nagły błysk sztyletów, pałaca trucizna win z Sziraz i to na wskroś przeszywające, rozżarzone spojrzenie! Jakaż niezmierna wielkość – jak bezgraniczna niewola! Niewolnice po twej prawicy i lewicy wywijają czamarami, a łuna biła od ich brylantami wysadzanych naramienników; Padyszach, król królów, rzucił się do twych białych jak śnieg stópek tkwiących

w trzewiczkach wysadzanych drogimi kamieniami, a przed drzwiami, niby poseł śmierci, stał straszny abisyński eunuch z gołym mieczem w rękach. A potem, o ty, kwiecie pustyni, kiedy cię porwało czerwone jak krew, olśniewające morze wielkości ze swymi spienionymi falami zazdrości, swymi skałami i otchłaniami intryg, na któreż wybrzeże okrutnej śmierci zostałaś wyrzucona czy też do którego wysłano cię kraju, jeszcze świetniejszego i okrutniejszego niż ten.

W tej chwili zawołał znowu ów obłąkany Meher Ali:
– Precz! Precz! To wszystko kłamstwo! To wszystko kłamstwo!

Otworzyłem oczy i spostrzegłem, że już jasny dzień. Służący wszedł i przyniósł mi korespondencję, zaś kucharz, złożony mi na powitanie głęboki pokłon, czeka na moje rozkazy.

Powiedziałem sobie: „Nie, nie mogę tu dłużej pozostać!”. Tego samego zaraz dnia spakowałem swoje manatki i przeniosłem się do urzędu. Ujrzawszy mnie, stary Karim Khan uśmiechnął się z lekka. To mnie podrażniło, ale nic nie mówiąc, zabrałem się do roboty.

Z nadejściem wieczoru zacząłem się robić roztargniony; zdawało mi się, jak gdybym miał z kimś umówioną schadzkę, wobec której przegląd rachunków za bawełnę wydał mi się pozbawionym wszelkiego znaczenia; ba, nawet godność nizama nie przedstawiała dla mnie wielkiej wartości. Wszystko, co należało do terażniejszości, wszystko, co się po ruszało, chodziło i pracowało na chleb, wydało mi się bez znaczenia, niedorzeczne i godne pogardy.

Rzuciłem pióro, zamknąłem księgę główną, siadłem na swój wózek, zaprzężony w kuce i pojechałem. Zauważyłem, że równo o zmierzchu wózek stanął sam przed bramą marmurowego pałacu. Szybkimi krokami wybiegłem po schodach na górę i wszedłem do sali.

Panowało w niej przygnębiające milczenie. Pokoje patrzyły na mnie ponuro, jakby zagniewane. Serce me pełne było skruchy, ale nie było nikogo, przed kim mógłbym je otworzyć lub kogo mógłbym prosić o przebaczenie.

Chodziłem po tych pokojach jak nieprzytomny. Pragnąłem mieć gitarę, aby przy jej dźwięku zaśpiewać nieznajomej:

„O ogniu, ćma, która na próżno chciała ujść, powróciła do ciebie!

Wybacz jej ten jedyny raz, spal jej skrzydła i pochłoń ją w swym płomieniu”.

Nagle, z góry padły na me czoło dwie łzy. Tego dnia ciemne masy chmur leżały na szczytach gór Avalli. Posępne lasy i mętne fale Susty czekały w straszliwym napięciu i groźnym milczeniu. Naraz ziemia, woda i niebo zadrżały i dziki wichur z wyciem pognał dalekimi, nieznającymi ścieżek lasami, szczerząc błyszczące zęby jak obłąkany, który w napadzie szału stargał swe łańcuchy. Puste sale pałacu zatrzęsęły swe drzwi i jęknęły żałośnie w śmiertelnym strachu.

Cała moja służba znajdowała się w gmachu rządowym, więc nie było nikogo, kto by pozapalał lampy. Noc była chmurna i bez księżyca. Pograżony w głębokich ciemnościach czułem wyraźnie, że na kobiercu przed łóżkiem leży na twarzy kobieta i targa w rozpacz swe długie rozpuszczone włosy. Krew zalewała jej piękne czoło, a kobieta to śmiała się okrutnym, przykrym, bezdusznym śmiechem, to wybuchala gwałtownym, konwulsyjnym łkaniem, to znów darła na sobie gorset i biła się w obnażoną pierś; a wiatr wył przez otwarte okno i rzucał do pokoju strugi deszczu, tak że kobieta na wskroś przemokła.

Przez całą noc trwała burza, a wraz z nią bez przerwy to namiętne zawodzenie. Błądziłem w ciemnościach z pokoju do pokoju, pograżony w beznadziejnym smutku. Kogóż miałem

pocieszać, skoro nikogo nie było? Któż to wiał się w tak strasznej męce? Co było przyczyną tej niepocieszonej troski?

Tu rozległ się znów krzyk obłąkanego:

– Precz, precz! To wszystko kłamstwo! To wszystko kłamstwo!

Spostrzegłem, że już się rozwidnia i że Meher Ali mimo straszliwej burzy obchodzi dokoła pałac ze zwykłym sobie okrzykiem. Naraz przyszło mi na myśl, że może on także mieszkał kiedyś w tym domu i że, mimo iż zmysłu postradał, przecie zaklęty przez marmurowego demona, co dzień musi doń przyjść i obchodzić go dokoła.

Nie zważając na burzę i deszcz, pobiegłem ku niemu i zapytałem:

– Halo, Meher Ali, co jest kłamstwem?

Nie odpowiedział, lecz odepchnawszy mnie na bok, biegł dalej dokoła pałacu ze swym szalonym okrzykiem, jak zahipnotyzowany przez węża ptak lata wciąż w kółko nad jego paszczą i robi przy tym rozpaczliwy wysiłek, aby samego siebie ostrzec, powtarzając bez przerwy:

– Precz! Precz! To wszystko kłamstwo! To wszystko kłamstwo!

Jak szalony pobiegłem w ulewnym deszczu do gmachu rządowego i zapytałem Karim Khana:

– Powiedz mi, co to wszystko znaczy?

Od starego dowiedziałem się rzeczy następującej: Kiedyś szalały w tym pałacu niezliczone, niezaspokojone namiętności, nienasycone pożądania i piekielne płomienie dzikiej żądz, a za to teraz przekleństwo wszystkiej wycierpianej męki serca i wszystkich zawiedzionych nadziei uczyniło każdy kamień tak spragnionym i łaknącym, że każdego żywego człowieka, który się do nich przypadkiem zbliży, pożerają chciwie niby wygłodzony potwór. Ani jeden ze wszystkich, którzy tam przespali trzy noce, nie mógł już

ujść tej okrutnej paszczy, wyjąwszy Mehera Alego, który jednak przyplącił to pomieszaniem zmysłów.

Zapytałem:

– A czy nie znalazłby się jakiś sposób, za pomocą którego ja mógłbym się uratować?

– Jeden jedyny tylko – odpowiedział stary – ale bardzo trudny. Ja panu powiem, na czym on polega, wprzód jednak musi pan wysłuchać całej historii perskiej panienki, która kiedyś mieszkała w tym przybytku rozkoszy. Nigdy nie odegrała się na tej ziemi dziwniejsza i bardziej serce rozdzierająca tragedia.

W tej właśnie chwili pojawili się noszący pakunki tragarze, oświadczając, iż pociąg już idzie.

A więc było już tak późno? Podczas gdy pociąg wjeżdżał na stację, my czym prędzej zbieraliśmy swoje manatki. Jakiś dystyngowany Anglik, zbudziwszy się prawdopodobnie ze snu, wyjrzał z okna przedziału pierwszej klasy i usiłował odczytać nazwę stacji. Jak tylko ujrzał naszego towarzysza podróży, zawołał „Halo!” – i zabrał go do swego przedziału.

Ponieważ my jechaliśmy klasą drugą, nie mieliśmy już sposobności dowiedzieć się, kim by ten człowiek i jak się jego historia skończyła. Ja powiedziałem:

– Ten człowiek miał nas za durniów i zakpił sobie z nas. Cała jego historia jest od początku do końca zmyślona.

Spór, jaki powstał z powodu tego mego odezwania się, zakończył się zerwaniem na całe życie wszelkich stosunków z moim teozoficznie myślącym kuzynem.

Rabindranath Tagore
Głodne kamienie

Tytuł wersji anglojęzycznej:
The Hungry Stones

Redakcja:
Anna Oldak, Hanna Milewska

Projekt okładki:
STUDIO OŻYWIANIA KSIĄŻKI KARTALIA

Copyright © for the e-book edition
by FUNDACJA FESTINALENTE 2014

Warszawa 2014

ISBN 978-83-7904-215-9

Fundacja Festina Lente
ul. Nowoursynowska 160B/7
02-776 Warszawa



FUNDACJA
FESTINALENTE
www.festina-lente.org.pl



www.chmuraczytania.pl



www.eLib.pl